Rok 1898. Lwów, dnia 3. października. Nr. 39.

ECHO LITERACKIE

Dodatek tygodniowy „Dziennika Polskiego

Redaktor: Izydor Kuncewicz.

ERNEST HELLO.

IRONJA BOŻA.

NAPOLEON.

Czem jest, do czego zmierza wiek XIX.? Jakaś szczególna ironja zdaje się kierować jego losami.

Zazwyczaj historja, w nieustannym swym pochodzie, zapisuje fakty przygotowane i sprowadzone przez rozliczne uczucia, pragnienia, myśli i czyny ludzkie.

W wieku obecnym dzieje się wprost przeciwnie. Wiek ten, skoro tylko pragnie jakiejś rzeczy, z pewnością sięgnie po inną, będącą zaprzeczeniem tamtej.

Skoro tylko oznajmi jakiś czyn zamierzony, spełni niechybnie inny, zupełnie z nim sprzeczny.

Skoro tylko zechce działać i dążyć w pewnym określonym kierunku, rzuca się z całym zapałem w kierunku odwrotnym.

Skoro żywi jakiś zamiar, urzeczywistni niezawodnie zamiar wprost przeciwny.

Od stu lat przeszło ludzkość żyje i działa wśród takich sprzeciwieństw, a nikt nie zwrócił dotychczas na nie należytej uwagi.

Filozofja zeszłego wieku do najwyższego stopnia była sentymentalna. Istna pasterka w stylu Wateau, lubowała się w polach, łąkach, gaikach cienistych i rzeczułkach przeźroczych.

Cichy szmer strumyka kołysał rozkosznie jej duszę młodą i naiwną. W jej ustach brzmiały tylko słowa miłości. Jakżeż często słodki wyraz niewinności dawał się słyszeć w jej wdzięcznem szczebiotaniu. Marzyła o braterstwie ludów. O, jakżeż ona kochała wszystkie ludy ziemskie ta słodka, serdeczna filozofja! Jej miłość rozlewała się na całą naturę.

Życie najdrobniejszej muszki niewymownie było jej drogie. Owad cierpiący do łez ją poruszał. Całe potoki łez gotowa była wylewać nad nieszczęściem motyla.

Wszystkie te czułości i słodycze nie przeszkodziły wcale pojawieniu się roku 1793. Owszem, ze wszystkich tych czułości i słodyczy wykwitnął rok 93, jak róża ze swego pączka wykwita.

Weźmy literaturę, weźmy poezję, weźmy malarstwo ze schyłku zeszłego wieku. Istna idyla, niewinna zabawa sielska. Jan Jakób Rousseau ze łzami w oczach prowadzi farandolę. Rousseau, który rozczulał się wciąż nad własną swoją dobrocią, niekiedy nawet uwielbiał własną swą niewinność. Płakał z miłości, skoro o sobie myślał, a ponieważ zawsze myślał o sobie, więc łzy nie osychały nigdy w jego oczach. Za nim pląsają długim szeregiem pasterze i pasterki z roztkliwionemi twarzami. Tańczą i płaczą zarazem.

Niestety, cały ten niewinny korowód sielankowy w fatalnym rozpędzie podążał wprost do stóp rusztowania, gdzie oczekiwał na nich Robespierre.

A co jest najciekawsze, to, że w chwilach najokropniejszych owe słodkawe czułości wciąż jeszcze zalewały literaturę.

Marat napisał książkę. Zgadnijcie tytuł tego wdzięcznego utworu. Zapewne oczekujecie czegoś strasznie krwawego. Okładka książki zawierać musi jakąś groźbę przerażającą.

Próżna obawa! Pozostawiony przez Marata pomnik literacki posiada na swej karcie tytułowej te dwa wyrazy: „Romans serca".

Precz z Bogiem! Precz z władzą wszelką! Człowiek jest wyzwolony — tylko od siebie samego zależy. Ludzie są braćmi. Nie ma już wojen, nie słychać szczęku oręża, ani śladu złych tyranów!

Filozofowie, załzawieni z rozczulenia, święcą święto

wolności, braterstwa, pokoju powszechnego. Ludzie aż duszą się od serdecznych uścisków.

Odtąd echa ziemskie rozbrzmiewać tylko będą odgłosem pocałunków, jakim darza się nawzajem rozmiłowane w sobie narody.

O, pasterze! o, pasterki! o, Pawle! o, Wirginio!

Nagle młody, milczący artylerzysta zdobywa Tulon, potem Włochy, potem Francję, potem Europę. Wolność i braterstwo nie protestują wcale; nie śmią nawet głosu podnieść Cały świat staje się lękliwym. Przyodziany w purpurę cesarską młody artylerzysta nie zasypia na laurach zdobytych; niczem nie daje się ani ukołysać, ani uspokoić, ani powstrzymać, ani zadowolić. Rzekłbyś, że jego przeznaczenie unosi się wysoko po nad poziomem najzuchwalszych jego pragnień.

Zdaje się być zawsze niezadowolony ze swej wielkości, niby z ciasnej sukni, krępującej swobodę jego ruchów. Ziemia cała zamilkła przed jego obliczem, jak niegdyś przed obliczem Aleksandra; a wśród tego przerażonego milczenia rozlega się tylko głos dobitny. powtarzający krótką odezwę:

„Żołnierze, jestem z was zadowolony".

Ci, którzy w Napoleonie widzą tylko genjalnego wojownika i zwycięzkiego wodza, nie patrzą zbyt daleko. Inny wódz mógłby mu wyrównać ilością wygranych bitew i zdobytych krajów, a jednak nie osiągnąć jeszcze przez to jego imienia i jego uroku.

Wiek osiemnasty przepełniony był frazesami i teorjami.

Napoleon zjawił się na ziemi jako rzeczywistość, jako realna potęga. Mówił niewiele, ale działał bez miary. Często ludzie czynu okazują się ludźmi małego ducha, są praktycznymi działaczami, dalekimi od ideału.

Napoleon łączył w swej naturze charakter ścisłości i ogromu. Dokładność praktyczna i wzniosłość idealna spotykają się w jego dążeniach. Nie myślę tu wydawać o nim sądu; zaznaczam tylko wrażenia, jakie uczynił na ludziach współczesnych i potomnych. Dał im widzieć to, co tak rzadko widzą ich oczy: postawę olbrzyma.

Skoro rozważam porywający urok, wywierany przez tego nadzwyczajnego człowieka, dochodzę do przekonania, że tkwi on nie w sile jego ramienia, bo siła jest objawem brutalnym, lecz w tem jakiemś bezmiernem pragnieniu, które, nienasycone przez żadne tryumfy, zaciemnia wciąż czoło tryumfatora.

Napoleon wydaje się zawsze niezadowolonym. Gdyby był promieniejącym i szczęśliwym, zdałby się mniejszym od swych zwycięstw; jego troska czyni go od nich większym. Nigdy nie okazał on wobec swych wzniosłych przeznaczeń zadowolenia, jakie nieraz wyraził wiernym swym żołnierzom.

Surowy wyraz jego twarzy przepysznej, zawiera jakąś skargę, niewiedzieć przeciw komu zwróconą. Niewątpliwie jest żal do kogoś na tem obliczu. Jest na niem też jakiś niepokój, jakieś pragnienie, bezmierne, nienasycone.

„Nudzi mię ta stara Europa", wyrzekł niegdyś pono, i w stronę Wschodu zwracał wzrok swój szczególny, rozdrażniony być może czemś, co znajdowało się tam po za obrębem jego potęgi. Wyprawę do Egiptu poczytywał za najpiękniejszą chwilę swego życia. Obcy zawsze w salonach Tuileries, zdawał się być bliższym swej istotnej ojczyzny pośród grobowców Faraonów.

Mawiał, że u murów Akry zminął się ze swem przeznaczeniem. Chciał sobie otworzyć drogę do Azji i stamtąd zagarnąć Europę. Skoro Azja z rąk mu się wyrwała, żałował jej, jak prawowity monarcha żałuje straconego państwa. Może ta nostaglia za Wschodem utraconym rzuciła na czoło Napoleona ów mroczny i posępny cień zagadkowego niezadowolenia.

Jego niezadowolenie bardziej jest niepokonalne, aniżeli jego armie. Ono jest zwycięzcą jego zwycięstw. Możnaby sądzić, że Napoleonowi brak powietrza na wszystkich jego tronach. Wygląda jak orzeł w klatce. Imperator europejski, miał wszystko czego pragnął, ale w duszy Napoleona władca azjatycki czuł się wciąż niezadowolonym.

Żołnierze wielbili w nim zwycięskiego wodza. Być może wszakże, iż byli oni owładnięci przez wyższe, bezwiedne uwielbienie, z natury swej niezrozumiałe dla tych, którzy je odczuwają. Być może, iż pozostawali oni pod wszechwładnym urokiem człowieka, który gdyby był wierny samemu sobie, swemu idealnemu typowi, mógłby podźwignąć na swych ramionach ciężar dwóch bereł — berła Wschodu i berła Zachodu.

Może ich wzruszenie, przewyższające o wiele ich pojęcie, było pozdrowieniem tajemniczej, niepojętej przyszłości. Może to pełne troski czoło zwycięzcy, gdyby miało więcej pokory i więcej boskości, stałoby się godnem korony, której nie tknęła ręka ludzka, dziewiczej korony Azyi Może niejasno odczute, a nieuświadomione przeczucie tych wielkich zadań wstrząsało świat cały takiem szczególnem wstrząśnieniem... Może ono to wyciskało łzy starym żołnierzom na widok legendowego munduru, błyszczącego w słońcu austerlickiem.

Gdyby urok tego nadzwyczajnego człowieka pochodził li tylko od jego zwycięstw, pod Waterloo zgasłaby aureola. Na wyspie Ś-tej Heleny rozpłomieniły ją ognie podzwrotnikowe. Wierzba płacząca, samotność i majestat pustyni, blaski słońca afrykańskiego, zapadającego w afrykańskie morze — oto ramy, okalające portret człowieka.

Ale nie zamierzam tu głosić jego apologji.

Lady Macbeth daremnie tarła ręce chcąc zmyć z nich niewidzialną plamę krwi. I krew księcia d'Enghien nigdy nie może być zmytą.

A jakie morze krwawe dodano do tej jednej krwawej kropli!

Wyrzuty i przekleństwa spadają na pamięć bohatera gęsto i bezustannie, jak strugi deszczu listopadowego. Spadają sprawiedliwe, niepokonalne, potworne, jak osobistość, będąca ich celem.

Mógłbym powiedzieć wam o nim więcej złego, niż sami myślicie i wszystko, cobym powiedział, słusznem byłoby niewątpliwie. Ekskomunika, która, wraz z innemi piorunami spadła na głowę tego olbrzyma, tysiąckrotnie była usprawiedliwiona A jednak papież, potępiając go, kochał potępionego.

Gdyby czas i miejsce pozwoliły mi na napisanie okropnego aktu oskarżenia, wystawionego przez dzieje, jakiż byłby mój wniosek?

Wniosek mój polegałby na wstrzymaniu się od wszelkiego wniosku.

Wspomniałem słowa Lamartina:

„Bóg go osądził! milczenie!“ I wspomniałbym słowa Wiktora Hugo:

„Ten człowiek nadzwyczajny, zda się upoił historję. Jej zimna sprawiedliwość znikła w blasku jego chwały“.

Wspomniałbym też głębokie słowa krytyka niemieckiego o Hamlecie: „Jest to iracjonalne zrównianie“.

Są ludzie, którzy zdają się być przeznaczeni na to, aby wzbudzać niepokój i zdumienie i znakiem zapytania kończyć wszelki sąd, jaki o nich możemy sobie wytworzyć.

Jedno wszakże jest pewne i widoczne: owa ironja potworna rzucona przez Napoleona na głowę XVIII. wieku...

W. G.

FRANCISZEK MIRANDOLLA

IMPRESJE.

I.

Sam jestem. Zapadłem w czarny, prastary bór. Dokoła szumią jodły, dokoła ściele się na trawy, na las cały, pomrok. Już żadna dusza bliźnia nie przypełznie, nie weżre się we mnie jak głodny gad, żadnego już nie spotkam spojrzenia, do nikogo nie będę musiał wyciągnąć dłoni... Święto, święto! Święto — noc, aż do nowego brzasku.

*

Pościągam czaty czuwające ku czterem świata stronom. Na cóż mi one? Nogi moje są jak kroguice i spadają z powietrza a inne podziemne są i przekłuwają ziemię tam gdzie jej dotyka pierś moja kiedy spoczywam na wielkim, odwiecznym borze.

*

Mam i przyjaciół; dzikie gołębie — myśli. Dużo stad dzikich gołębi żyje w pustelni mojej. Czasem, gdy siedzę na pniu strąconej wiatrem sosny, spada mi do nóg jeden — drugi — trzeci i poskakuje i grucha...

*

Patrzę mu w oczy. Jeśli to oczy łagodne, łzawe, kobiece, biorę go na dłoń, gładzę pióra całuję dziobek a potem podrzucam wysoko, i kładę na gałęzi drzewa: Niech leci! niech leci!

*

Jeśli to oczy głębokie, zadumane, smutne, biorę w zanadrze ptaszę i niosę do mego szałasu. Tam, kiedy noc nadejdzie, siadam przy migotliwem świetle kaganka nad wielką księgą półzapisaną, a ptak mi patrzy w oczy i mówi rzeczy różne, tajemne, święte.

*

Gołębie, gołębie choć dzikie, choć czasem uderzą skrzydłami po głowie, to przyjaciele. Dużo ich czasem siada na ramiona, bije po głowie, tuli się do serca. Nie pójdę z wami, nie pójdę w rojne i gwarne miasto!

*

Poleciałybyście, poleciały smutnie szeleszcząc skrzydłami... a nawet, gdybym w płaszczu z dzikich, pierzastych gołębi chodził po ulicach, myślanoby, że mam je na sprzedaż.

II.

Ani piędzi ziemi! Krajobraz — grobowiec. Długie, białe, marmurowe płaskowzgórza, przecięte jarami opadających schodów, wąwozy dwu tarasów z pędzącymi dołem potokami światła, lasy obelisków, pieczary świątyń i rozrzucone jak pnie ściętych drzew tu i ówdzie — ołtarze...

*

Kamienna sielanka zmarłych gigantów, pasterzy co odeszli bezpowrotnie i porzucili trzody, zda się niedawno... Tam, na skraju marmurowej polany, pasie się jeszcze stado sfinksów...

*

Duszo, patrz! Wszystko na ziemi jest linią prostą, wszystko na niebie kołem!

*

Zrzuć z ramion łachman ciężki i brudny codziennej nędzy, chude ręce wysuń z kajdanów. Opadną! opadną!... I przyjdź tu oprzeć się piersią o poręcz terasy... Wpatrz się, wpatrz dobrze w tę wielką, białą, spokojną krainę gigantów pasterzy, co odeszli bezpowrotnie i porzucili pasące się trzody. Zamieszkaj w krainie skamieniałego szczęścia, zapadnij w ekstazę na wieki!...

DOM WECJUSZÓW W POMPEJI.

Urywek listu z podróży).

...Ktokolwiek, tak jak ja w tych dniach zrobiłem, uda się z Neapolu do Pompeji, aby zwidzić wykopaliska ostatnich czasów, będzie zapewnie wdzięcznym dyrektorom muzeum narodowego w Neapolu i nadzorcom wykopalisk pompejańskich, pp. de Petra i Sogliano, za nowy i wytworny pomysł urządzenia domu pompejańskiego takim, jakim był przed wiekopomną katastrofą, zostawienia na miejscu wszystkich przedmiotów, jakie się w nim znalazły.

Pierwej, wszystko co się znalazło, przenoszonem bywało do Neapolu, a więc, zdejmowano ostrożnie freski, ładowano bronzy, narzędzia, mozajki, marmury, — a ruiny zostawały ruinami i tylko dla pociechy zostawiano kilku nieboszczyków odlanych z gipsu, aby świadczyli o tej strasznej chwili, którą przebyły Herkulanum i Pompeja.

Dziś niejedno się zmieniło. To, co już powędrowało do Neapolu, do muzeum, pozostanie tam w wybornem zachowaniu, ale kiedy np. niedawno, z pod motyki robotników wyszedł na światło dzienne całkowity, ozdobny dom dom Wecjusza, bogatego mieszczanina, pp. Petra i Sogliano postanowili odtworzyć siedzibę tę w tym samym stanie, w jakim ją znaleźli, a raczej jaką była w r. 79 po Chrystusie. Nazwisko Wecjuszów nie jest obcem archeologom tutejszym, gdyż znalazło się ono pomiędzy publicznemi napisami, jako nazwisko kandydata do godności miejskich. Przez okazały przedsionek (nb. z pornograficznym freskiem, służącym zapewne za ochronę przeciw złemu oku, t. j. *jettaturze*), wchodzi się do obszernego atrjum, wcale ładnie ozdobionego, tak, że w pierwszej chwili odnosi się wrażenie, jakby się było nie w prowincjonalnem miasteczku, ale gdzieś w Neapolu lub Rzymie. Zasłonięte szklannym dachem i płótnami, rzucają się w oczy malowidła ścian, ich pola cynobrowe z grą kolorów, które zapewne w ciągu wieków pod ziemią złagodniały i milsze sprawiają wrażenie. To samo i przedmioty malowideł, amorki i psychy, lekkością i wdziękiem kompozycji ornamentacyjnej mile nęcą oko, choć podobna ornamentacja aż nazbyt dobrze znaną jest z fresków muzeum neapolitańskiego, gdzie się w nieskończonych odmianach, coraz to figlarniejszych, powtarza.

Duże kasy, a raczej skrzynie żelazne, ustawione są tutaj w tem samem miejscu, gdzie były znalezione.

Po prawej stronie od wejścia do atrjum, znajduje się komora z bożkami domowymi, ołtarzykiem i niezbędnymi w tych razach wężami, wymalowanymi na ścianie, a za nią kuchenka, gdzie są jeszcze: trójnóg z rondlem i ruszty, miejsce, gdzie zwijał się niewolnik-kucharz, który się widocznie uratował, porzuciwszy zawczasu rondle w chwili popłochu, bo szkieletu jego nie znaleziono. Z atrjum, otoczonego sypialnemi norami i pokojami dla przyjęć, wchodzi się do perystylu, zaludnionego posążkami i zbiornikami marmurowymi, z *viridarium* po środku, którego ścieżki i plan pozostały te same, co dawniej, gdyż pod warstwą popiołu i kamyczków Wezuwjusza rozpoznać można rysunek i rozkład, według którego dłoń pompejanki sadziła i pielęgnowała kwiaty.

Ogródek podwórzowy, otoczony jest wygodnym portykiem, o słupach, ubranych w stjuk.

Tutaj zwykł był przechadzać się właściciel w dni upalne. Woda, prowadzona rurami do zbiorników, dawała chłód, którego potrzebowały także kwiaty. W każdym rogu portyku, od strony wschodniej, znajduje się *exedra* czyli pokój bawialny, ozdobiony bardzo starannymi freskami z dziedziny mitologji: Ixion, Bachus i Arjadna, młodość Herkulesa, Pasifae, Dirce, Bachantki i Penteusz... Freski te są dziś już odfotografowane, tak iż każdy w domu wygodnie studjować je może...

Weryha.

JAN PIETRZYCKI.

P O E Z J E.

Gdy gromy huczą...

Gdy gromy huczą, ty nadstaw im czoła
I piersią skały rozsadzaj z granitu,
I przestrzeń wzrokiem przeglądaj sokoła —
Chociaż myśl twoja w ciemnościach zatonie...

A jeśli losu grot utkwi ci w łonie,
Ostatnią siłą co w piersi zagości,
Ostatniem drgnieniem dosięgnij błękitu,
By zginąć mężnie, w poczuciu wielkości!..

Fontanna.

Cudna fontanna!... biała ciał kaskada
Nagich, dziewiczych, pogrążonych w pół-śnie...
Włos perłą lśniący to po licu muśnie,
To fantastycznie ku stopom opada.

Cudna fontanna!... woda srebrem dźwięczy
I w alabastru przewija się smugi —
A gdy słoneczne uderzą z nią strugi,
Rzekłbyś: ze złotej wykonana tęczy.

Fontanno!... Myśli porzucam czar boski
Myśli-kochanki, na białe twe łono...
Ty, pochwyconą, w przezłote snuj głoski,

W kształt ucieleśnij, zamykaj w przestrzeni,
Dodaj jej blasku, białości, odcieni —
I z nieskończonej, wróć twórcy: skończoną!

Płomień.

Duszno w powietrzu... drży ziemia zraniona
Gromem, co z nieba się stoczył wężowo...
Huk... echo... w gromie Bóg zaklął swe słowo —
Słowo, co rodzi i w tworach nie kona...

Już wściekły żywioł uderza w zenity
Z głuchych, mgłą szarą owianych bezdeni,
Syczy i warczy i żarem się pieni
Dymów straszliwych uściskiem spowity.

Przebóg, ty nie patrz! w płomiennej purpurze
Tysiąc szatanów podnosi swe głowy,
Tysiąc szatanów w słup idzie ogniowy —

Niby śmiech piekła rzucony w niebiosy...
W wichrów szalonych zaklęty odgłosy,
Wbija się cielska ogromem, ku górze...

Modlitwa.

Ostatnie gwiazdy pogasły na niebie,
Zorza roztacza z nad szczytów gór złoto —
Duch przebudzony wybiega tęsknotą
— Do Ciebie!

Ziemia się mroku okryła żałobą
I na szafiry sierp wpływa miesiąca,
A moja dusza, jak rano tęskniąca
Za Tobą!

G. VERGA.

TYGRYSICA

Powieść.

(Przekład z włoskiego).

Ciąg dalszy.

Rozdział XI.

Co brakowało mężowi, to była rzecz następująca:

— Co La Ferlita ma do czynienia w Aci Reale? — zapytał mnie Rendona pewnego dnia. Spotkałem się tam z nim już dwa razy na dworcu.

— Może jeździł do Giarre. Jestto jeden z majątków jego żony, położonych w tej okolicy.

Od czasu, gdy Giorgio, tego wieczora w którym doktor opowiadał historję o chorej z hotelu kąpielowego, uścisnął mi rękę w tak szczególny sposób, nie mówił nic więcej. Unikał nawet najlżejszego dotknięcia tej kwestji. W tych rzadkich chwilach, w których zastawałem go głęboko zadumanego, rozpoczynał zaraz jakąś obojętną rozmowę, tak jakby w moich oczach czytał jakieś niewczesne pytanie. Prócz takiej przemijającej zadumy, którą on tylko znał, zajmował się zresztą tylko żoną i chorem dzieckiem i zdawało się, że cały swój świat widzi w tych dwóch istotach.

— Moja chora musi być wprost warjatką, tak że właściwie należałoby ją wiązać — opowiadał mi doktor Rendona pewnego razu na dworcu w Aci Reale, gdzie przebywałem w kąpielach. — Dowiedziała się, że w teatrze miejskim w Catanji odbędzie się nadzwyczajne przedstawienie, i wbiła sobie w głowę, że musi tam pójść. Wyobraź pan sobie tylko! W tym stanie! Umywam ręce w niewinności. Rzecz ta obchodzi więcej zarząd kolei, gdyż nie jest wcale rzeczą niemożliwą, iż umrze w drodze w wagonie.

Wieczorem w dniu przedstawienia byłem i ja w Catanji,

a ujrzawszy Giorgia z żoną, poszedłem do ich loży, aby ich powitać. Historja o chorej Rosjance w hotelu kąpielowym nie wiele mnie zajęła. Aczkolwiek mieszkałem w tym samym hotelu, ani jej nie widziałem, ani o niej nic nie słyszałem, a to, co mi opowiadał Rendona, uleciało z mej pamięci — gdy niespodziewane poruszenie i bladość, jaka nagle pokryła twarz Giorgia, podczas gdy z nim rozmawiałem, przypomniała mi to wszystko.

Teatr był na pół pusty i nie widziano prawie żadnych nowych twarzy, w połowie przedstawienia jednak otworzyły się drzwi przeciwległej loży, a w głębi jej można było zauważyć jakiś ruch. Nikt jednak nie ukazywał się na przodzie i loża wydawała się jak przedtem pusta.

Mimo to jednak spojrzenie Giorgia powracało tam ustawicznie, starał się panującą w loży ciemność przeniknąć z takim wyrazem strachu, że mimowoli czyniłem to samo i wreszcie spostrzegłem, że tam ktoś siedzi.

Na cieniu w głębi widać było coś białego, którego nieokreślone kształty nie poruszały się wcale.

Przez chwilę patrzyłem przez lornetkę i ujrzałem wyraźnie blada twarz kobiecą, tak zmizerowaną, że profil jak wykuty, odrzynał się ostro od cienia, a silnie czarne, nadmiernie wielkie oczy świeciły się, jakby fosforyzowały. Te palące oczy z dziwną uporczywością skierowane były na nas.

Giorgio widocznie znajdował się pod czarem jakiegoś zaklęcia, powstałego z wewnętrznego wzruszenia.

Z gorączkową żywością rozmawiał o najróżnorodniejszych rzeczach i dwa czy trzy razy nerwowym ruchem nałożył kapelusz na głowę.

Nagle postać z przeciwka wystąpiła z ciemności i na chwilę stanęła przy balustradzie. Była ubrana cała w koronki i biały atłas, bez najmniejszej ozdoby, a jej bujne jasne włosy były nisko na karku spięte w luźny węzeł. Na rękach miała długie, prawie do łokci sięgające rękawiczki, a przez koronki, któremi okrytą była jej suknia, przeglądały chude ramiona, zapadnięta pierś i ręce, na których rękawiczki układały się w liczne fałdy. Pod szminką, która pokrywała twarz, można było przeczuwać trupią bladość, mimo to jednak ta wynędzniała twarz, te blade usta i gorączkowo błyszczące oko miały w sobie coś niepokonanie pociągającego.

Podniosła lornetkę i skierowała ją na nas; wśród widzów wywarło wrażenie to dziwne zjawisko, które nagle wystąpiło z ciemności loży.

Pani La Ferlita rozmawiała wesoło, gdy nagle wskutek poruszenia męża również podniosła oczy.

Nie kończąc rozpoczętego zdania, Giorgio bąknął coś o wizytach, które ma złożyć w innych lożach i wyszedł.

Nieznajoma cofnęła się znowu w głąb swej loży i nie pokazała się więcej, tylko lekki, napół stłumiony kaszel, który od czasu do czasu dawał się słyszeć z przeciwległej loży, zdradzał jej obecność.

Pani Erminja ani mnie się nie zapytała, kto jest ta nieznajoma, która na chwilę była przedmiotem ciekawości pewnej części widzów, ani też nie byłbym w stanie objaśnić ją o tem — jednakowoż zamilkła i zdawała się być mniej wesołą. Zresztą powiedziała do mnie, że jest niespokojną o Jasia, który od kilku dni coś niedomaga.

Gdy znaleźli się znowu w domu, Giorgio siedział długo przy kołysce dziecka i zasypywał doktora wątpliwościami i przesadzonemi obawami. Resztę wieczoru spędził z żoną, czuły jak zwykle i wydawało się niemal, że chce coś naprawić; mimo tego jednak można było u niego zauważyć jakiś przymus, jakby musiał zwalczać i ukrywać jakiś nieokreślony niepokój, a nieraz wydawało się, że się czegoś obawia.

Tymczasem powróciłem do moich kąpiel. Raz wydało mi się, że tę samą kobietę, która w teatrze wywarła na mnie tak szczególne wrażenie, spotkałem w ogrodzie hotelowym.

Była to ta sama wynędzniała i smutna twarz, na której spoczywał dziki i palący bunt przeciwko losowi, jakiemu podpadła. Chód jej był powolny i zmęczony, a opierała się na ramieniu towarzysza, wysokiego blondyna. Gdy przechodziliśmy obok siebie, rzuciła na mnie bystre spojrzenie, z tych samych pożerających, ciemno-niebieskiemi obwódkami otoczonych oczu.

Jeszcze tego samego dnia przyszedł do mnie służący i rzekł, że dama, która zajmuje wielkie pomieszkanie na pierwszem piętrze, pragnie ze mną pomówić. Nie znałem damy z pierwszego piętra i nie spodziewałem się wcale tego szczególnego zaproszenia, ale nie miałem też najmniejszej wątpliwości, od kogo ono pochodziło. Gdy zszedłem na pierwsze piętro, jakie niejasne przeczucie, iż oczekuje mnie coś bolesnego, ścisnęło mi serce.

Gdy wszedłem, siedziała w wielkim fotelu przy oknie. Była ubrana czarno, a jasny warkocz, który spadł i prawie się rozpłótł, spoczywał na poręczy. Chociaż to była połowa maja, wielki ogień palił się na kominku. Słońce zaszło, a w pokoju panowało niepewne światło zmroku, pomimo zapalonych dwóch lamp. Przez można było okno widzieć kilka lekkich, słabo oświetlonych chmurek ciągnących po niebie.

Twarz kobiety w tem niejasnem świetle była prawie niewidzialną, tylko wychudłe, białe, świecące od drogich kamieni ręce odrzynały się niepokojąco niemal od czarnej sukni. Wielkie, szare, ale głęboko zapadłe oczy zdawały się oświecać wynędzniałą twarz i cienkie, niebieskawe usta, otoczone bolesną zmarszczką. Tę bezsilną twarz, tak białą, iż zdawało się że nie posiada w sobie już ani jednej kropli krwi, musnęła już śmierć swą szorstką ręką, i pozostawiła na niej swój okropny ślad. Nie zapomnę jej nigdy.

Z smutnym uśmiechem skinęła głową i ruchem ręki zaprosiła mnie, abym usiadł.

Milcząca, jakby musiała pokonać jakieś natężenie lub też namyśleć się wpierw, co mi ma właściwie powiedzieć, a było jeszcze coś, co nie było pokonanem i buntowało się w niej. Na wysokiem czole tej śmiertelnie ranionej tygrysicy spoczywał jednak wyraz wysokiego majestatu.

— Prośba moja zaskoczyła zapewne pana niespodzianie ale znam pana już oddawna i nie mam czasu czekać na przedstawienie. Jesteś pan przyjacielem pana La Ferlita... widywałam pana często we Florencji z nim razem, wtedy, gdy miał ten pojedynek... przypominasz pan sobie? A i tutaj niedaleko, w Catanji, widziałam pana w jego towarzystwie.

Przymknęła oczy na chwilę, albo też tak mi się tylko wydawało, gdyż tak, jak siedziała, nie mogłem dokładnie widzieć jej twarzy.

— Teraz wiesz pan także, kim jestem — zaczęła po chwili milczenia w tonie, jak mi się wydawało, cokolwiek silniejszym. Giorgio zapewne rozmawiał z panem o mnie.

W ten sposób zbliżyła się do drażliwego punktu naszej rozmowy z taką wzniosłą i niewymuszoną swobodą, że z nas dwojga, ja znajdowałem się w większym kłopocie.

— Teraz mam nadzieję, iż wybaczysz mi pan, że mu przeszkadzam — kończyła, podając mi suchą i rozpaloną

rękę, w tonie, który przeniknął mi duszę do głębi i dał mi niejasne wyobrażenie tego, coby się działo z Giorgiem, gdyby się znajdował na mojem miejscu.

— Czy pan La Ferlita żonaty? — zapytała znowu po chwili milczenia, pokonawszy może ostatnie wahanie.

— Tak.

— I jest szczęśliwy?

— Sądzę, że jest.

Zamilkła i oparła czoło na dłoni. Co mogło się w tej chwili dziać w duszy tej kobiety? Gdy podniosła znowu głowę, linje czoła i nosa rysowały się ostro w cieniu na jasnym kwadracie okna i wydawały się jak skamieniałe, gdy jednak potem siedziała zupełnie nieruchoma, robiła wrażenie beznadziejnego poddania się.

— Dziękuję panu — rzekła. — A teraz jeszcze jedna prośba... Nie mów mu pan nic o tym kaprysie chorej; nie mów mu pan nawet, że się ze mną widziałeś.

Po tych słowach pożegnała mnie ostatnim uściskiem ręki i stała spokojna i bez ruchu. Dopiero gdy się odwróciłem we drzwiach, spostrzegłem, że przycisnęła chustkę do twarzy.

Rozdział XII.

Bez wątpienia La Ferlita w tym czasie, jak się wyraził Carlo, stracił kurs. Czy przyczyną tego był chorobliwy stan jego synka, czy też dręczył go jakiś inny niepokój, dość, że zadawał sobie wielki trud, aby ukryć jakieś wewnętrzne wzburzenie. Malca zasypywał pieszczotami, dla żony był pełen uprzejmości i uprzedzająco grzeczny, ale w jakiś dziwny, jakby nawpół ze wstydem, sposób, tak, jakby chciał naprawić jakąś wyrządzoną jej krzywdę, jakby go coś dręczyło albo jakby się obawiał utracić żonę i dziecko. W jego tysiącznych planach, jak mają przepędzić lato na wsi, rozpocząć wielkie roboty w swych dobrach albo też udać się do kąpiel w Ali, przebijał się jakiś niepokój, który wyraźnie mówił o zamąconym spokoju ducha. Szczególnie ubolewał nad tem, że stan zdrowia malca nie pozwalał na wykonanie myśli, panującej nad wszystkiem a powracającej nieustannie, a mianowicie, aby opuścić miasto.

— Mieszkasz w hotelu kąpielowym? — zapytał mnie pewnego dnia, gdy go odwiedziłem. — Jest tam wielu cudzoziemców?

— O tej porze roku mało.

Spojrzał na mnie bystro, nie rzekł jednak ani słowa więcej.

— Jakże się powodzi twojej chorej? — dowiadywał się innym razem, spotkawszy się z Rendoną.

— Tak, jak się powodzi ludziom, którzy są bliscy śmierci — odparł doktor.

— Tak samotnie i zdaleka od ojczyzny umierać, musi być bardzo przykro — dodał Giorgio po chwili milczenia.

— Jej mąż przyjechał.

— Biedak! Kto wie, gdzie błąkały się jej myśli, ile wycierpiała, zanim doszła do tego stanu? Kto wie, jaka namiętność ją zabija?

— Eh, co tam namiętność! Na to się nie umiera, mój kochany, jeżeli do tego nie przyłączą się suchoty lub tyfus.

— Mówisz, jak lekarz — odparł Giorgio z niepewnym uśmiechem.

— Jestem jednak nietylko lekarzem, miałem i ja swoje romansiki, wielkie i małe. W tych szczęśliwych czasach, gdy moje woreczki łzawe były trochę wydatniejsze, i ja płakałem i wyrywałem sobie włosy, gdy ich miałem więcej, ale widzisz, jednak nie umarłem, lecz przeciwnie, czuję nawet, że mi jest bardzo dobrze.

— To widać! Masz nawet wcale pokaźny brzuszek; tymczasem sam się trochę obmawiasz, doktorku. Mogłeś mieć swoje romansiki, wyrywać włosy z głowy i znać wszystkie te setki sposobów, w jakie człowiek przyzwolty może się przenieść do innego świata, ale co jest prawdziwą namiętnością, o tem nie masz nawet najlżejszego pojęcia... tem lepiej dla ciebie! Czyż możesz twierdzić, ty, który tyle studjowałeś, że pokonasz śmierć? Czy znasz środek na suchoty? Jeżeli kogoś pochwyci w swoje szpony choroba, która się zowie namiętnością, widzisz... to jest szczęście... ale walczyć przeciwko niej... rzecz zupełnie bezcelowa... trzeba ją przebyć aż do gorzkiego końca.

— Gdyby to było prawdą, to czyniłoby się najlepiej, gdyby się zaraz przy pierwszym gorączkowym napadzie posłało po księdza — sądzę, że z czystem sumieniem wypełniam mój obowiązek, gdy zwalczam chorobę mojej Rosjanki, aczkolwiek niema już najmniejszej nadziei.

— Brawo, doktorze — zawołała pani Erminja, która dotychczas nie miała odwagi brać udział w rozmowie, rumieniąc się cokolwiek. — Mnie się zdaje, że tak jest rzeczywiście. Wiele chorób ściągamy na siebie obawą, że już je mamy, i poddajemy się im, ponieważ pozwalamy im pokonać nas, nie walcząc przeciwko nim wcale. Tak się też dzieje i z wielu innemi rzeczami. Trzeba im tylko bez obawy zajrzeć prosto w twarz, a wtedy może się pokaże, że niema tam nic niepokonanego i fatalnego.

Uśmiechnięty i z pewnego rodzaju delikatną łaskawością, z szacunkiem i pobłażliwą litością słuchał Giorgio żony.

— Ale, kochana Erminjo — odparł potem głosem, w którym było czuć coś jakby pieszczotę — jak możesz mówić o cierpieniach i sposobie, w jaki je zwalczać należy!... Jesteś przecie jeszcze dzieckiem, starszą siostrą naszego Jasia!

*

W kilka dni potem otrzymał La Ferlita list ze stemplem pocztowym „Aci Reale". Ręka mu drżała, gdy go otwierał, następnie wszedł do pokoju, w którym znajdowała się jego żona z słabem dzieckiem, aby zawiadomić Erminję, że nagła sprawa wzywa go jeszcze tego wieczora do Giarre.

Rendona i ja byliśmy właśnie u nich, a Giorgiem, jak mi się wydawało, owładnęło potężne wzruszenie. I jego żona musiała stanowczo coś zauważyć, gdyż patrzyła na niego z wyrazem źle ukrywanego zdziwienia, podczas gdy wyszukiwała tysiączne przyczyny, aby go namówić i przekonać, żeby podróż odroczył. W istocie choroba dziecka wzmogła się, aczkolwiek nie dawała jeszcze powodu do poważnych obaw.

— Zaczekaj raczej do jutra — prosiła Erminja. — W Giarre przecież nie mogło się stać nic takiego, coby taki pospiech czyniło koniecznym. Jutro Jasiowi będzie lepiej i będziesz mógł pojechać spokojniejszy.

— Jakże znajdujesz małego? — zapytał Giorgio doktora, ciągle jeszcze z tym tajemniczym niepokojem w głosie i w całej swej istocie.

— Jak dziś rano. Wieczorem jednak gorączka jest zawsze większa.

— Jest rzeczą bezwarunkowo konieczną, abym dziś jeszcze pojechał do Giarre... jeżeli jednak jesteś zdania, że stan Jasia nie pozwala na moją podróż, to powiedz otwarcie.

— Nie... nie mogę powiedzieć, aby...

— A zatem do widzenia, Erminjo. Wracam jutro rano pierwszym pociągiem. Widzisz przecie, że nasz poczciwy Rendona nie ma żadnej obawy.

Nie odpowiadając nic, odprowadziła go Erminja do drzwi, a następnie powróciła i siadła z wzrokiem wlepionym w dziecko przy kołysce.

— Szczególny spsób postępowania, aby w obecności żony zadawać mi takie pytanie — rzekł Rendona, gdy wyszliśmy razem. — Nie jestem wcale taki pewny, jakby się to na pozór wydawać mogło, ale mógł to przeczuwać, i nie zmuszać mnie do tego, abym powiedział albo nieprawdę, albo też przeraził jego biedną żonę.

*

Gdy powracałem do Aci Reale, spotkałem Giorgia w chwili odjazdu na dworcu, samego bez pakunków, i zdawał się być nieprzyjemnie dotkniętym, gdy mnie zobaczył, a przecież musiał wiedzieć, że codziennie wracam tym pociągiem.

Kupiwszy bilet do Giarre, wsiadł razem ze mną do próżnego przedziału. Giorgio rozmowiał mało przez całą bardzo krótką podróż spoglądał prawie nieustannie przez okno na morze. Widocznie był bardzo roztargniony, gdyż na dworcu w Aci Castello sądził, że już przybyliśmy na miejsce przeznaczenia, a gdy pociąg ruszył znowu z miejsca, oparł łokcie na kolanach i ukrył twarz w dłoniach. Na gwizd lokomotywy, na krótko przed przybyciem do Aci Reale powstał i podczas gdy pociąg wjeżdżał wolno na stację stał nieruchomy we drzwiach wagonu, znajdujących się po przeciwległej stronie od hotelu kąpielowego, przyczem trzymał się silnie klamki.

Nim wysiadłem, zapytałem go się, czy nazajutrz będziemy razem powracali, odparł mi jednak, że jeszcze nie wie i być może, że powróci do Catanji powozem.

Drzwi się zamknęły i gdy pociąg ruszył znowu, stał zawsze jeszcze tak, jak go opuściłem.

*

Wieczorem goście kąpielowi spędzali zwykle czas na czytaniu, graniu na fortepianie, paleniu lub przechadzce w ogrodzie. Około jedenastej usłyszałem turkot powozu, pędzącego od strony Giarre, zatrzymał się przed hotelem. Szedłem właśnie do mego pokoju na górę, gdy nagle znalazłem się oko w oko z Giorgiem.

Stanął zmieszany, potem jednak podszedł zdecydowany ku mnie i ujął moją rękę, ściskając ją silnie.

— W rezultacie nie mogło się stać inaczej — szepnął. — Chodźmy do sali, do ogrodu, do pokoju swego... gdzie chcesz... odgadłeś zapewne wszystko...

Ciąg dalszy nastąpi.

Wiadomości artystyczne i literackie.

P. Adolf Czerny, przyjaciel Polaków, druh Jelinka, profosor w Pradze, rozpoczyna wkrótce wydawnictwo dwóch pism perjodycznych pt. „Slovansky prehled“ i „Slovanska hnihowna (bibljoteka słowiańska). „Przegląd słowiański“ ma poruszać sprawy bieżące z życia wszystkich narodów i zakątków Słowiańszczyzny. Pierwszy numer „Przeglądu“ wyjdzie w biew bieżącym miesiącu. „Bibljoteka słowiańska“ będzie zamieszczała prace poważne z zakresu slawistyki.

W teatrze warszawskim przedstawioną będzie w najbliższym czasie po raz pierwszy jednoaktowa komedyjka Madejskiego: „Albo niebo, albo piekło“.

Raul Koczalski dnia 23. b. m. wystąpił z koncertem w Samarze w sali tamtejszej resursy kupieckiej. Artysta cieszył się wielkiem powodzeniem.

Nowe powieści. Orzeszkowa napisała nową powieść p. t. „Argonauci“. Bolesław Prus przyrzekł napisać dla „Tygodnika ilustrowanego“ nową powieść; tytuł jej na razie jeszcze nie wiadomy.

„Tygodnik ilustrowany“ zapowiada druk nieznanych dotąd listów „Zygmunta Krasińskiego do Delfiny Potockiej“.

W Moskwie w tamtejszym carskim teatrze wznowiono po 20 latach „Halkę“ Moniuszki.

Przekłady. „Corriere di Napoli“ drukować zacznie w pierwszych dniach b. m. w feljetonie swoim powieść Sienkiewicza: „Quo vadis“, w tłomaczeniu p. Verdinois.

Nowa sztuka. Dyrekcja teatrów warszawskich otrzymała od p. Michała Bałuckiego nową komedję w 3 aktach p. t. „Wędrowna muza“, osnutą na tle życia aktorów prowincjonalnych.

Z prasy. Tygodnik warszawski „Kurjer niedzielny“ przestał wychodzić. Prenumeratorzy tego pisma otrzymają natomiast nowe pismo p. t. „Tygodnik polski“.

Nowe książki. „Krótka gramatyka polska“ napisała Marja Dzierżanowska. Warszawa 1898. — „Człowiek zwyrodniały“ dra J. Dallemaque przełożyła z francuskiego dr. med. Józefa Joteyko. Warszawa 1898. — „Gospodarstwo rybne“ przez Wacława Sikorskiego. Warszawa 1898. — „Nowy system rolnictwa“ przez Jana Owsińskiego. Warszawa 1898.